

**PRENUMERATA W WARSZAWIE:**

We wszystkich księgarniach i kantorach pisma peryodycznych po cenie miesięcznie kop. 60, kwartalnie rub. 1 kop. 80, półrocznie rub. 3 kop. 60, rocznie ub. 7 kop. 20. — Na Pradze w księgarni S. Rzymskiego, Wileńska № 4.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie: rocznie rub. 10, kwartalnie rub. 2 kop. 50. Cena numeru pojedynczego kop. 20

**PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE
POŚWIĘCONE SPRAWOM KOBIECYM.**

Wychodzi pod redakcją ZOFII SEIDLEROWEJ.

Ekspedycja główna: ul. Nowy-Świat 41.

Ogłoszenia przyjmuje Administr. „Bluszczu” po kop. 15 za wiersz nonparelowy lub za jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackim: We Lwowie w głównej ekspedycji „Bluszczu”, Pasaż Hausmana 9, kwartalnie kor. 5, na prowincji z przes. poczt. kor. 6.60. W Krakowie u D. E. Friedleina: kwartalnie kor. 5, na prowincji z przesyłką pocztową kor. 6.60. W W. Ks. Poznańskim dla abonentów „Dziennika Poznańskiego”: w Poznaniu kwartalnie 3,60 mk., z przesyłką pocztową 4,30 mk.

N-ry 2 i 3 „Bluszczu” nabywamy, płacąc po 20 kop. za egzemplarz.

Kaz. Przerwa - Tetmajer.

GRA FAL.

Powieść w związku z „Królem Andrzejem”.

51)

Rzym wrzał. Tłumy katolickie, rozwścieczone oburzeniem, niesłyszając, aby sprawców zwaleni części bazyliki Świętego Piotra znaleziono, schwytano i ukarano, szukały upustu dla swego gniewu, poczucia krzywdy i chęci odwetu. Rozpoczęły się kłótnie i walki. Nizki kler z wysokiego polecenia podlegał, wiódł na socjalistów, anarchistów i tych, których uważano za bezbożnych. Płomienny mówca, złotousty, za życia niemal za świętego uważany, kapucyn, ojciec Adeodat wołał: Gdyby pięciu sprawiedliwych Pan był znalazł, Sodoma i Gomorrha byłyby ocalone! Sodoma i Gomorrha byłyby zniszczone, gdyby wszystkim lud był w nich sprawiedliwy, a pięciu takich zbrodniarzy Wszechmocny Pan niemógł pośród niego znaleźć!...

Więc szukano zbrodniarzy z krwawą pianą na ustach.

Lecz ataki ze strony katolików wywołały reakcję. Hydra wrogów kościoła także podniosła głowę, a niebывale zuchwały czyn zamachu wzmógł jej odwagę. Poczęto wzajem ścigać i przesładować wiernych synów kościoła. Dwa nieprzyjacielskie obozy stanęły naprzeciw siebie, religijny i antyreligijny, silniejsze, niż wszelka władza, rozluźniające wszystkie karby i wszelką dys-

cyplinę, żołnierze bili się między sobą i wszelka ziemską powaga moc jąła tracić. Wobec walk ulicznych rząd był bezsilny, gdy wojsko stawało po jednej, albo po drugiej stronie.

Stary Szafrąński niebrał udziału w ulicznych bojach, uważał to za niegodne siebie. Uważał on się teraz za osobę ogromnie ważną i której wielka rola światowa dopiero się rozpoczęła. I słusznie. Największe dzieło postępu, za jakie miał tak straszliwy poryw na religię rzymsko-katolicką, niebывoby nastąpiło bez jego pomocy, gdyby nie on. On to sprawił, iż znalazły się środki na dokonanie zamachu. I to przez swój charakter! Gdyby był nie zaimponował księżnie Koreckiej proponując jej szklanek koziego mleka, niebывoby wszedł z nią w stosunki i niebывoby dla Łanowskiego zdobył pięciu milionów franków.

Bah! Gdyby księżna Korecka wiedziała, na co jej pięć milionów poszło!... Lecz Łanowski niemówił Szafrąnskiemu o swoim spotkaniu z nią u kardynała, ani o swojej u niego bytności.

Szafrąński siedział w swojej suterence naprzeciw wizerunku Chrystusa. Było po ludnie i skwar dopiekał. Szafrąński krajał cienkie plasterki salami, do ust je wtykał

chlebem pszennym przegryzając i głową kiwał.

— He, co, dziełko, co?

Świątynia Dyany w Efezie?

He, co?

Nie spodziewaliśmy się niczego podobnego, corpo di Bacco! He?

Ruinka, panie dziu, zwaliseczka, co?

Świątynka — fiut!

Kościółek — brzdęk!

Zostało go jeszcze większe pół, ale i to się zwali, o zwali!

Jeszcze żyje Bolcio Łanowski i stary Piotruś Szafrąński!

Co?

Nie myślało się nigdy niczego podobnego, nie przypuszczało.

Pu! psia ci panie mać, fajt! panie bdiu!

Pracka się przeżyła, lizsko ją musi wziąć.

Niema, panie dziu, nic trwałego na świecie.

Religie, psiakrew panie, przeżywają się, jak dziewczyny

Wszystko się na świecie starzeje.

Rodzi się, panie dziu, żyje, rośnie, przeżywa, starzeje i pulta di Fiesole! umiera!

Hu-hu!

Nic się nie ostanie czasowi.
 Byli mędracy, byli!
 Nauczyciele, kaznodzieje, proroczkowie,
 półbożkowie, bożkowie opatentowani.
 Fajt! — Fiut!
 Nic nie zostało.
 Zoroaster, Zendawesta, Bramaputra,
 Mandragora!
 Huhuhu!
 Marszczymy brewki, co?
 Nic niepomocze.¹
 Jedno jest tylko trwałe: duch ludzki
 dążący.
 Jedna jest tylko prawda: pragnienie
 duszy.
 Jedna jest tylko zasada: poszukiwanie
 Na swój czas byliśmy dobrzy, doskonali.
 Byliśmy mądrzy, postępowi, mieliśmy
 kulturę.
 Ale dwa tysiące lat to kawał czasu.
 Zanadto straszyliśmy Jehowę.
 W pogardę podawali ziemię, ciało, życie
 całe.

Ludzie tego niechcą!
 Chcą żyć!
 Jak Grecy, panie dziu, jak poganie!
 Chcą, psia ci panie mać, używać! Uży-
 wać, panie bdiu, bo czego nie użyjesz, to ci
 przepadło!

W Raju ci, psiakrew panie, niedadzą
 jeść, pić, tańczyć i...

Ale tylko śpiewaj chwałę! He?
 Trzeba było niestraszyć tyle Jehowę.
 Piekłem i za byle co karami wieczys-
 temi.

Nieopluwać tak życia cielesnego.
 Niebyć suchym rabinem gardzącym
 pogańską pięknnością, radością i rozkoszą
 życia.

Trzeba było być trochę więcej Gre-
 kiem, a trochę mniej Żydem.

Nie przyklejać nowej wiary do żydow-
 skiego zakonu.

Nie obrzydzać życia!
 Nie stawiać wieży na więziennym gma-
 chu!

Nie kazać wachać lilji w dyby zaku-
 tym!

Toby się nie było na to zeszło, na co
 się zeszło!

Szafranski z początku mówił z humo-
 rem, jedząc salami z chlebem, ale potem
 przestał jeść, a w końcu odwrócił się z
 krzesłem tyłem do ściany, do której mówił.

W tej chwili głośne krzyki, kłatwy,
 wrzaski i śmiechy doleciały jego uszu.

Spojrzał przez brudne okno na ulicę.
 Bito się.

(DCN.)

Z życia wsi...

Wśród ogólnego uwiadu ducha, czego
 jesteśmy świadkami w latach ostatnich, błysz-
 czy na zaciągniętym ze wszech stron posep-
 ną chmurą widnokregu społecznym jasna
 gwiazda — zbudzona z wiekowego snu —
 dusza ludu.

Najrozpaczliwszy pesymista ironicznie
 uśmiechający się w obec rozsnuwanych mu
 przed oczyma marzeń o odrodzeniu narodu,
 chyli ze czcią głowę przed tą „zmarłych”
 wstającą, cudownie młodą duszą, lecącą ku
 światłu płomiennymi skrzydłami.

Czysty promień miłości Chrystusowej
 przenika ją całą, zapala do czynu i daje moc
 niewyciężoną w boju z złą wolą i
 obskurantyzmem, skwapliwie gromadzącym
 kamienie na jej drodze.

Posiadamy obecnie całą plejadę nazwisk
 chłopskich, które wymawia się z orzeźwieniem
 ducha i szacunkiem, że wymienię częściej spo-
 tykane jak: Teofil Kurczak, Kielak, T. Noc-
 nicki, Manterys, M. Bieniakówna, C. M. M.
 Siedleccy, Grzegorz Badura, założyciel włas-
 nym kosztem ochronki, gdzie 50 dzieci znaj-
 duje opiekę i uobyczajnienie i tylu, tylu in-
 nych.

Jasnym wspomnieniem świeci dla po-
 tomnych szlachetna postać nieodżałowanej
 pamięci Łukasza Deptuły i s. p. Maryi z Bru-
 szewskich Maliszewskiej, zgasłej w wiosnie
 życia Kruszyńnianki. Dwieście byłych ucze-
 nic Kruszyńka, to dwieście jasnych pochodni
 rozpalających w mrocznych chłopskich cha-
 tach zapal dla wiedzy, chęć do czynu, poczu-
 cie piękna i ładu, samopoczucie obywatelsko-
 społeczne.

Czemuż, niestety, każdy powiat naszego
 kraju nie posiada swego Kruszyńka, lub dla
 czego ofiarność społeczna tak nikłym toczy
 się strumyczkiem, że nie pozwala na posze-
 rzanie się ram tego zakładu, który winien
 być Benjaminskim naszego społeczeństwa.

Obecnie istnieją jeszcze całe przestrzenie
 kraju, gdzie o Kruszyńku nie słyszano, a gdy-
 by i słyszano, matki nazwałyby posyłanie tam
 córek rozpustą (autentyczną), lub w najlep-
 szym razie traceniem czasu i pieniędzy po
 „próżnicy”, lub obrażałyby się srodze, że ob-
 cy mają uczyć gospodarskich czynności ich
 córki, skoro matki to samo potrafią.

Spróbuję tu dać obraz stosunków i u-
 myślowego poziomu mieszkańców pewnej
 gminy w powiecie sochaczewskim, dokąd
 świeży powiew kultury nie zdołał się przebić
 niestety.

Gmina liczy 3,475 głów: w tym Polaków
 2,694, Niemców 539, Żydów 242. Przy tak
 olbrzymiej przewadze ludności rdzennej, garst-
 ka Niemców utrzymuje dwie szkoły, Polacy—
 jedną.

Smutną swą wymową statystyka!
 Dzieci niemieckie uczą się śpiewu, mu-
 zyki, w chatach ich rodziców znajdują się
 książki, czasopisma, mają własną orkiestrę...

Wśród ludności polskiej czytelnictwo,
 muzyka, śpiew, znajdują się w fazie embrjo-
 nalnej.

Z czasopism na kilkanaście wsi prenu-
 meruje się 1 „Zaranie”, 4 egzemplarze „Ga-
 zety Świątecznej” i 1 „Polaka Katolika”.

Na 60 mieszkańców zebranych w sądzie
 w dzień sądowy, umyślnie przeprowadzona
 ankietę wykazała tylko dwóch umiających się
 podpisać nazwiskiem, lecz i ci, samodzielnie
 najbliższego zdania napisaćby nie potrafili.

Cała umiejętność ogranicza się do na-
 gryzmolenia nazwiska, jak cała sztuka czyta-
 nia do mozolnego „dukania” na modlitewniku.
 Zapytany wyrostek lub dziewczyna: „cóż ci
 przyjdzie z nauki czytania?” — odpowiada:
 „Nie będę stał w kościele jak gapa” — i ani
 przypuszcza nawet, że ona stać się może zło-
 tym kluczem do świątyni wiedzy.

O geografii włącznie z topografią i etno-
 ografią własnego kraju, nie więcej posiadają
 wiadomości niż o Chinach lub Australii.

Co dziwniejsza że ci, którzy z Ameryki
 wrócili na własny zagon, zdobyli wprawdzie
 drogą praktyczną pewną sumę pojęć o za-
 morskich ziemiach, lecz do poznania własnej
 nie wykazują najmniejszej ciekawości.

Na rozległą gminę, z 20 wsi złożoną,
 niema chaty, w której możnaby ujrzeć na
 ścianie mapę Królestwa Polskiego, a zagad-
 nięci o Chełmszczyznę gospodarze pytają:
 „Czy to morzem trza tam jechać?”

O znaczeniu sztuki, piśmiennictwa, czyli
 o duchowo-umysłowej stronie życia narodu,
 nie wiedzą nic, nie przeczuwają jej istnienia.
 Żyją życiem wegetatywnym i to im wystarcza.

Próby urządzenia przedstawień amator-
 skich we dworze u nas rozbiły się o zapatry-
 wania starszych gospodarzy na znaczenie teatru:
 „Te komedye to tylko rozpusta; co z tego
 komu przyjdzie?”

Zachwaszczony, bo niedotknięty lemie-
 szem kultury umysł reaguje na przeróżne zja-
 wiska codziennego życia najdziwniejszymi prze-
 sądami i zabobonami. Wiara w czarownice
 przechowała się dotąd z całą mocą średnio-
 wiecza.

W gminie, o której mowa, mieszkają
 cztery, Bogu ducha winne niewiasty, potępio-
 ne przez opinię środowiska, jako zdeklarowa-
 ne wspólniczki szatana. Wywiązują się ztąd
 grozą przejmujące fakty.

Pewna starozakonna w 7 miesiącu ciąży
 dostała konwulsji. Z tej przyczyny poroniła.

Kobiety, otaczające chorą zadecydowały:
 „Czary”.

Podburzeni mężowie napadli gromadą na
 dom obwinionej o czary, wywlekli ją z domu,
 zaciągnęli do izby położnicy, groźbami zmu-
 szając do odczynienia uroku.

Nieszczęsna ofiara ciemnoty poddaje się
 przemocy i odgrywa scenę „odczynienia”, by-
 le wydobyć się na wolność.

W parę dni potem, ścigana prześlado-
 waniem i pogardą, wykonywa zamach samo-
 bójczy. Przypadkiem mąż dojrzał wiszącą,
 wpadł na strych i w porę odciął sznur.

Tę samą kobietę zaprosił raz w kumy
 pewien gospodarz, widocznie oświecony od
 innych. Żona musiała uleść, lecz spaliła po-



kryjomu sukienkę dziecka, ofiarowaną przez chrestną matkę i wszystko co należało do dziecięcia, a czego się ta dotknęła.

Cieżarna kobieta spotyka na drodze inną z czterech rzekomych czarownic. Wkrótce potem, jako wynik nieprawidłowego porodu występuje u położnicy ciężka histerya, która powtarza się odtąd stale po urodzeniu każdego dziecka. Rozpowszechnia się w okolicy mniemanie, że choroba jest skutkiem „urzeczenia” przy owym spotkaniu. Odtąd „urzeczona” dyszy pragnieniem zemsty, przedstawiającym się w jej wyobraźni jako akt naturalnego odwetu i przy każdym spotkaniu z niewinną ofiarą nie żałuje pięści oraz paznogi.

Tamta wynosi się wreszcie pod las by „zejść ludziom z oczu” i żyje jak wilk-samotnik. Jakie to myśli wypełniają umysł owej wytrąconej z gromady ludzkiej samotnicy?

Wanda Grot-Bęczkowska.

(DN.)



Z VII seryi poezyi.

Prometeusz.



Jam Prometeusz przykuty do skały,
Powrozem losów spętany boleśnie
Do ślizkiej grani, do lodowych zwałów.
Wiję się! Targam w konwulsjach męczarni,
Raniąc o zręby rozprężone ręce,
Które chcą siłą wyzwolić się z oków!
Targam się! Barki mi grają mocarne,
Pierś dysze lawą skłębionych płomieni,
Dusza się kurczy, serce drga tęsknotą!
Targam się! Wiję! A tam ponademną
Gościńców mlecznych srebrzą się zakręty
I gwiazdnych orgji skrzą się obłąkania
I widm księżycy płyną rozzłocenia,
W świetlne się wokół rozpryskując koła!
Pręzę się! Targam! O gdyby móżdż skruszyć
Własnej małości zardzewiałe pęta,
Szyderczych losów poszarpać obręcze
I wzbić się w górę orlem szybowaniem,
Wplątać się w warkocz oszalałych komet,
Uderzyć pierśią o tarczę błękitów
I wydrzeć niebu runo tajemnicy,
Skryte w chmur białych falujących kregach,
W oddechach świtu i w złotej purpurze
Cicho uśnionych wiosennych zachodów,

A później wzbić się jeszcze wyżej, wyżej
I w słońca puklerz uderzyć skłą serca
I chwycić żagiew płonących strumieni
I grom pochwycić—a potem z tym gromem
Stanąć jak demon, na najwyższym z szczytów
I w dół go rzucić—niech leci, niech warczy,
Niech z rykiem przemknie po płaszczyznach
ziemi

I w drzazgi skruszy mdle więzadła świata
I w niwecz zetrze skorupę padołu,
Bucem orkanów, ogniem błyskawicy
Niech wali w ludzkość pijaną szaleństwem,
Niech wali w ludzkość, która gnije w kale,
I serca gasi na barłogach grzechu,
I ducha tarza w trzęsawiskach fałszu!
Wiję się! Pręzę! Ramiona mi mdleją,
Serce drży krzykiem protestu i buntu,
Że źle, rozpacznie i ciemno w około,
Że prawd bezwzględnych zagasty kaganki,
Że wszystko dymem jest i czzem złudzeniem,
Zamiastbyć słowem, cudotwórczym Czynem!
Targam się, Wiję! Lecz co to?.. Lecz co to?..
Płacz jakiś słyszę, płynący z daleka,
Płacz, w którym łkają wszystkie struny serca,
Jęk jakiś słyszę i psalmy pożegnań,
Którym na imię „Nigdy” i „Nazawsze”
I widzę krocie obłąkanych twarzy
I serc, trawionych gorączką tęsknoty
Za jasnym łądem wiecznego zbratania,
Za jasnym brzegiem wolności niezmienniej,
Któraby wszystkim otwarła sezamy
Radości życia i radości śmierci.
Pręzę się! Wiję! O, tchu mi dodajcie
Mocy choć trochę na jeden błysk krótki!
Nie chcę piorunów ciskać z wyżyn nieba
Nie chcę ziać ogniem i trząść błyskawicą
Lecz chcę w niziny! w niziny! w niziny!
By chwycić ludzkość w płomienne ramiona,
Przycisnąć mocno do piersi skrwawionej
I tytanicznym podrzutem cierpienia
Rzucić ją w samą twarz słońcu!

Zygmunt Różycki.



Z literatury.



Szymon Askenazy: „Nowe Wczasy”. Warszawa. 1910.

Nowy gruby tom o pół tysiącu prawie stronic wyszedł z pod pióra profesora Askenazego, a w nim 20 szkiców historycznych pisanych tak, że najmniej nawet przygotowany do studyów historycznych czytelnik lekko i z największą dla siebie korzyścią je przeczyta. — Szkice dotyczą przeważnie naszych dziejów z 18 i 19 wieku.

Na czele książki dwie rozprawy o czasach saskich i rozbiorowych. Epoka ta pomimo bogactwa materyałów, mało jeszcze znana i niedość oświetlona z krzywdą dla współczesnych. Do tak dyletancko, a po macosze mu traktowanych kart dziejów naszych zaliczyć należy historię legionów, a przecież należy ona bezsprzecznie do najpiękniejszych epok historii naszego narodu w ogóle, bo nigdy może z takim natężeniem nie pracował razem duch narodu, serce mas, ramię najtęższej młodzieży, nigdy jaskrawszej nie było ofiarności dla idei państwowej polskiej, ofiarności życia, ofiarności bez granic i bez zastrzeżeń. Żaden może naród nie posiada tak wspaniałej manifestacji obrony honoru narodowego, na cień narażonego przez siły fatalizmu dziejowego i siły brutalnej.

Dotychczas legiony mają swych poetów, naratorów, malarzy i pseudo-historyków, „badających” legiony na podstawie szpargałów, pozostałych po trzeciorzędnych legionistach. Brak nam jednak prac poważnych i ich popularyzacji.

W innym szkicu profesor Askenazy daje piękną sylwetę jednego z najbardziej stylowych postaci tej epoki — generała Fiszerę, ulubieńca Kościuszki, sztabowca-żołnierza, bohaterę wojny z Rosją 1792 r., potem legionisty, potem towarzysza z pod Raszyna, wreszcie uczestnika kampanii 1812 roku, gdzie też zginął od kuli armatniej.

Innego rodzaju sylwetka w tym tonie charakteryzuje Sołtyka. Nie jest to dochodzenie historyczne, ale raczej impresja historyczna, bijąca od tej symbolicznej prawie postaci pierwszego polskiego męczennika.

Rozliczne ma sposoby ujmowania przedmiotów studyowanych ten wykwintny historyk-publicysta.

Oto np. szkic: Na marginesie Kordyana—stoi na pograniczu historii, filozofii i literatury — w którym autor ocenia wyjątkowe stanowisko i znaczenie dla polskiego narodu naszej trójcy romantyzmu, a potem czyni szereg pedantycznych uwag nad „Kordyanem” i wytyka Słowackiemu niedokładności historyczne, przeciwstawiając im nadzwyczajną historyczną prawdę „Dziadów”.

Z temperamentem, godnie a ze słuszną bezwzględnością rozprawia się Askenazy z popularnym niestety francusko-polsko-rosyjskim fałszerzem historii Waliszewskim, a mianowicie z „dziełem” jego — le Roman d'une impératrice. Kłamstwo tego „historyka” i jego absurdy zbyt jaskrawo charakteryzują karyerowiczostwo jego „prac”. Książki Waliszewskiego są naprawdę szkodliwe, tembardziej, że drukowane są po francusku przez autora, którego nazwisko kończy się na *ski*. Co się tyczy jego panegiriku dla Katarzyny II, to warto przytoczyć rozdziały tego elaboratu, by mieć dostateczne pojęcie o „naukowości” jego. Oto są: Yeux bleus ou bruns? Les péchés de Catherine. Qui l'est le père de l'enfant Ce, qu'on voit par le trou d'une porte. Ce, que cachent les écrans d'une chambre à coucher!...

Ów nadzwyczajny, niesłychany panegirysta Katarzyny, — polskiego pochodzenia, — nie mogąc przyznać, jakby tego chciał ów pośmiertny dworak, że Imperatorowa była wzorem żony, matki, córki, kobiety, — roztkliwia się, że była wzorową — babką, — une grande mère exquise. Askenazy nazywa go za to — un biographe exquis.

Nieco późniejszej epoki dotyka autor „Nowych czasów“ w dwóch innych studiach. W jednym z nich opisuje obszernie dzieje pierwszej polskiej politechniki, w 1822 roku w Warszawie założonej za Królestwa Kongresowego, a która wogóle była trzecią z rzędu w Europie, — pierwszą założył Wiedeń, drugą Glasgow, a ta była trzecią. Przyznać należy, że studia nad Królestwem Kongresowym zdolne są wlać w nas wielki optymizm, bo przekonują nas one, że naród polski jest zdolny do stworzenia państwa nowożytnego, gdyż dał tego bardzo liczne i bardzo trapiące przykłady w krótkim okresie czasu od 1815 do 1830 roku.

Charakterystyce wojska Księstwa warszawskiego poświęca Askenazy osobne studium, przypominając, że przez 7 lat istnienia swego brało ono udział w 4 kampaniach: pruskiej 1806 roku, austriackiej 09 roku, rosyjskiej 12-go i koalicji 13-go roku. Była to jedna z najlepszych współczesnych armii europejskich, a w każdej bronii dała dowód niepospolitych talentów. Tak więc artyleria polska uznana była przez Napoleona za najlepszą w jego armii i jedynie ona ocalała z pogromu 1812 r., pomimo że brała udział we wszystkich bitwach. Piechota pod Raszynem zdążyła zdumiewający egzamin, a jazda miała za sobą Somosierrę.

Nie będę streszczał kilku jeszcze innych szkiców, również ciekawych ważnych dla polskiego czytelnika i pięknie pisanych. Dziś już książka; wychodząca z pod pióra lwowskiego profesora, mówi sama za siebie.

Gustaw Olechowski.

Franciszek-Ksawery Pułowski: „Wigilja“. Kraków. Str. 39.

Krótki zbiorek poezji filozoficzno-refleksyjnych. Książeczka, pełna myśli głębokich i podniosłego uczucia, robi jednak wrażenie pisanej na zimno i czyta się bez wzruszenia, jakie każde prawdziwe dzieło poetyckie dawać powinno. Forma staranna, nawet wyszukana. Szkoda tylko, że autor w pogoni za niezwykłymi rymami zachodzi dalej, niż pozwala *licentia poetica*.

Tak np. rymuje: „opra-dobro“, „topiel-pobiel“. „żużel uzal“, „twardem akordem“, „roszczeń oścień“, „skrzepli szczebli“ i t. d.

Również wyrażenia podobne, jak: „wchodzi w czarny twój krzyżów cmentarnych drzewostan“ (str. 12), użyte dla rymu do „chłostan“; „do świata zjawisk ostatniej instancji“ (str. 14); „ogniwnem przyczyn wszak drenuje ziemię“ (str. 16), przyczem wogóle cały nokturn czwarty roi się od wyrazów używanych w hreczkosiejstwie, ale nigdy w poezji, i t. d. nie należą do najszcześliwszych.

W dobie niezwykłego rozkwitu formy poetyckiej, który naprawdę dokonywa się częstokroć ze szkodą dla myśli i uczucia, tego rodzaju anachronizmy są niedopuszczalne.

Pomimo te niewątpliwe usterki, porozsiewane tu i owdzie blaski istotnego natchnienia poetyckiego, zwłaszcza w „Psalmach“ i końcowym „Hymnie“, pozwalają wróżyć, że w p. P. tkwi materyał na prawdziwego poetę, trzeba tylko nad nim popracować i starać się wyzyskać.

Posiadając duszę subtelną i wrażliwą, oraz odpowiedni podkład myślowy, p. P. ma wszelkie dane do snucia dalej nici tej poezji filozoficznej, którą u nas tak świetnie zapoczątkował Zygmunt Krasiński, a która dotychczas nie wydała należytego plonu. Tylko, że i ten rodzaj poezji, o ile nie ma pozostać

suchym i zimnym, musi pulsować życiem i spływać krwią serdeczną!

Wytwornie wydana „Wigilja“ poświęcona jest dwu poetom: Hubertowi Karolowi Rostworowskiemu i Ludwikowi Hieronimowi Morstinowi, z którymi autor wykazuje wiele cech wspólnych i pokrewieństwa duchowego.

Ludwik-Hieronim Morstin: „Chwasty kwitnące na rodzajnem polu“. Poezye. Kraków 1909.

Str. 72.

Nie znam wydanego dawniej „Psalmu ziemi“ p. Morstina, nie mogę więc osądzić czy i o ile poezye „Chwasty kwitnące na rodzajnem polu“ znamionują krok naprzód w jego rozwoju artystycznym. Natomiast mogę śmiało powiedzieć, iż autor zbyt pokwapił się z wydaniem niniejszego tomu i żałować należy, że jeżeli już chciał wystąpić z niem na forum publiczne, nie uczynił tego później, po starannem przemyśleniu i opracowaniu go na nowo. Dał bowiem książkę bardzo nierówną, niedociągniętą i nieopracowaną, a niezawsze „szczęście sprzyja śmiałym“...

Że p. M. posiada talent poetycki, jest to rzecz niewątpliwa. Ale talent nie jest w artyście wszystkim. To wąż roślina, którą należy starannie pielegnować i hodować, nad którą trzeba bardzo pracować, inaczej zwiędnie od żaru słońca, inaczej złamają ją wichry i pochłona deszcze.

A właśnie tej pracy nad sobą brak jest p. M. bardzo. Język niestaranny, często nie gramatyczny, np. takie powiedzenie: „że się inni smęca, tak i ja się smęca“ (str. 10); określenia nieraz chybiące, czasem trywialne, np. „strumień się jaka“ (str. 17), albo „słysz szept duszy, co za szczęściem gania“ (str. 37) myśli nierzadko rozbijające w swojej naiw-

MACIEJ WIERZBIŃSKI.

Święty Fen.

Powieść z życia ikarystów.



(Dalszy ciąg).

Wstydził się później trochę przed sobą tych naiwnych strof, które wszakże dały mu pewien rozgłos, dzięki temu, że rzuciło się na nie kilku kompozytorów balad. Niebawem odłożył tamburyn, zawiesił na ścianie gitarę trubadura i pisywał charakterystyczne szkice z podróży i rozprawy ludoznawcze. Pisywał nie dla zarobku, bo posiadał fortunę zapewniającą mu „chleb i ser“, ale przeważnie pod wpływem wewnętrznej konieczności, która wyzwalając go z pod natłoku nagromadzonych wrażeń, jednocześnie przynosiła mu pewną ilość dźwięcznie brzmiących suwerenów, ułatwiających zaspokojenie fantazy.

Bardzo niewinną fantazyą była wycieczka w głąb hrabstwa Essex, które na powitanie takiego podróżnika wystroiło się w złocisty płaszcz, błyszczący od kryształów, i witało go rozpromienionem obliczem. A on w tem

oświeceniu kroczył jak goniec z wyżyn eterycznych zesłany.

Nagle doleciał go z pod olszyny świeży głos niewieści:

— Fen, leave off! Dość tego! Nie warto kaleczyć rąk. I tak malin jeszcze nie ma.

Z drugiego brzegu strumyka, z pośród zbitej, wysokiej gęstwiny dzikich malin, ożyn, chrustów i chmielu zabrzmiała radosna odpowiedź:

— Mam dwie maliny!!

Zbliżywszy się do olchów Frank ujrzał tyłem do siebie zwróconą dziewczynę bosonogą, z dość silnie utoczonemi łydkami, odzianą w prostaczą, blade-żółty kreton. Z ciemnej głowy, oplecionej grubym kasztanowatym warkoczem, zsunęła się na kark biała chustka gazowa. W rękę trzymała książkę, balansując nią na wzór wahadła.

Na szelest kroków odwróciła głowę i wielkimi oczyma koziocy spojrzała na nieznanego, który ugodzony promieniami jej źrenic doznał dziwnej sensacji. Nie wiedząc sam czemu zapytał ją o dom pana Crosstona.

— Mieszka o kilka kroków od wiatraka, który tam widzi pan przed sobą na wzgórzu — odparła dziewczyna z pewnym dostojnym spokojem, stojąc wyprostowana, smukła jak huzar.

— Czy zastanę go w domu, tego zapewne nie umie mi pani powiedzieć? — ozwał się jeszcze Darlington, który nie widział przed

sobą wiatraka lecz jakieś nadzwyczajne, interesujące zjawisko rodzaju żeńskiego. Aby mu się dłużej mózdz przyjrzeć stawiał to pytanie i pożerał wzrokiem jej postać o wydatnej piersi, różowej twarzy owalnej i ciemnych oczach.

— Nie zastanie go pan teraz, ale jego żona przyjmie pana. Wróci on z „miasta“ ostatnim pociągami — odrzekła.

Frank skłonił się z uprzejmem „thank you“ i poszedł dalej a idąc walczył z sobą, by nie odwrócić się i nie popatrzeć jeszcze na sielskie zjawisko, które teraz, gdy oglądał je, odfotografowane na płycie pamięciowej, wydało mu się w prostocie swej sielankowem, stosownem dopełnieniem pejzażu, dzieckiem jego, duszą.

Nie zauważył, że gdy oddalał się, wynurzyła się z przeciwbieżnej gęstwiny rudowłosa, kędzierzawa głowa, która zdaleka mogła robić wrażenie głowy fauna. Szedł pod wzrokiem dziewczyny, zaintrygowany, skupiony w sobie. I przeczuwając w niej komunistkę, myślał z uśmiechem na duszy:

— Na Jowisza! Jeśli w tej kolonii dzikaków wszystkie białogłowy takie, to czemu nie zrabowano jej i nie uprowadzono Sabinek?...

(DCN.)



ności, np. „a cóż ma człowiek począć ze wspomnieniem?” (str. 38), lub taki sześciowiersz na str. 48 i 49:

„Pójdę pod kościół, Bogu się poklonię,
a może świętym będę i po zgonie,
lud mnie poniesie górą w feretronie,
malowanego na chorągwi białej,
z słońcem na głowie, z twarzą pełną chwały,
światnego w blasku, jak natchnione sny”.

Również forma jest bardzo chropawa i pozostawia wiele do życzenia; rażą także takie rymy, naciągane dla oryginalności, jak: „gdy—szmaragdy”, i „i twa—rybitwa”, „a

ma—gamą”, lub np. taki kwiatek na str. 40:

„mam cześć dla ciebie,
a dla fal nie” (rym do „Kryształnie”).

I z chwastów tych musi poeta grunto-
wnie oczyścić twórczość swoją, jeżeli chce, by
się z nim liczone poważnie.

Uczyni to z pewnością i da rzeczy lepiej
przemysłane i bardziej opracowane.

Uprawniają do tego przeświadczenia ta-
kie wiersze, jak: „Requiescat in pace” (str. 21),
„Bóg był dziś u mnie” (str. 27), lub końcowe
„Pieśni przesytu” (którego, oby poeta wyżył
się jaknarychle!), z taką chociażby strofą:

„Wybudowałem sobie złoty dom,
weszy weń cicho dobrze znane twarze,
to moje zbrodnie —
Przeszły przez próg
i milczą..
Tutaj mnie sędzić może jeden Bóg,
lecz zostawiłem precz tę zgrają wilczą,
co tak grzeszyła wciąż przez pokolenia,
że dziś już grzechu nawet nie rozumie.
I między wami, bałwochwalczy tłumie,
jam niezgłębionych wód przedział położył,
tutaj osądzi mnie słusznie i godnie
Ten, który jedną, wielką spełnił zbrodnię:
mnie stworzył...”

J. Relidziński.

Obchód rocznicy Grunwaldu.

Kraków 19 lipca.

Przy udziale wielotysięcznych tłumów odbył się w niedzielę 17-go b. m. wspaniały pochód z Błoń na Wawel.

Uczestników pochodu liczą na 30,000, Sokołów tylko do 10,000 — z publicznością gęstym sznurem ustawioną po obu stronach pochodu więcej 100,000 prawdopodobnie należało do uroczystości.

Pochód rozpoczął się o 10 ej, od 7-ej już schodzono się na Błonia, o 3-ej rozechodzono z Wawelu. Po odśpiewaniu „Bogardzica” — ruszyła najpierw banderya wspaniałych Krakusów, później Sokoli, szkoły, zakłady wychowawcze, delegacje z kraju, zagranicy i zaborów, stowarzyszenia oświatowe, społeczne, artystyczne, rzemieślnicze i t. d. Mnóstwo wieńców, między którymi jeden — cierniowy, włożenie w barwnych strojach z wieńcami zboża, górale, przedstawiciele miast, weterani 63 roku, wreszcie wśród sztandarów rada miasta, wielu w pięknych strojach polskich. Wiele grup, mianowicie braci z zaborów, z Ameryki, Sokołów i delegacje cudzoziemskie witano okrzykiem, oklaskami. Wielu z publiczności płakało pod wrażeniem. I wił się orszak przez długie piękne godziny, radosny, a uroczysty, bez przerwy, bez dysonansu, bez natłoku tłumów, zdumiewając cudzoziemców majestatem, łącznością, kast, partyj, hasel, postawą tłumów. Z okien i balkonów sypano kwiaty.

Wieńce składano na sarkofagu Jagiełły, rozechodzono się z niezapomnianym wrażeniem smutku i radością, z dumą, że wciąż „jesteśmy” i tylu nas jeszcze jest, że umiemy w chwilach znamienitych zgodni być i do jednego dążyć celu.

Ćwiczenia sokołe olbrzymiem cieszyły się powodzeniem. Miasto zdawało się wyludniać w południowe godziny, wszystko spieszyło na boisko. Admirowano zręczność, siłę i karność szeregów sokolich, piękne ćwiczenia sokolic.

D. 16 go, wieczorem, stowarzyszenie strzeleckie przyjmowało ucztą znamienitszych gości. 17-go odbył się bankiet dziennikarski, w którym prócz licznych dziennikarzy i literatów brali udział: Paderewscy, Wiwulski,



POMNIK WŁADYSŁAWA JAGIEŁŁY.

prezydium Krakowa, radcy Lwowa, członkowie rosyjskiej Rady Państwa: hr. Korwin-Milewski i Godlewski, posłowie do Dumy: Żukowski, Parczewski, Rodiczew, Święcicki, Stachowicz, posłowie Sejmu pruskiego: Niegolewski i Seyda, wice-prezes koła polsk. Stwiernia, posłowie: Petelenz, Łazowski, Fedorowicz, profesorowie: M. Sokołowski, Rudzki, Klecki, Cybulski. Dalej: R. Dmowski, A. Lednicki, art. rzeźbiarz Chodźziński z N. Yorku, dr Fronczak z Chicago, Włodz. Tetmajer i wielu innych.

Wygłoszono liczne toasty, między którymi zwróciły uwagę p. Noussanne, redaktora

„Gil Blas” — na cześć włości polskich, dalej R. Dmowskiego, Rodiczewa — na cześć wolnego słowa polskiego, hr. Korwin-Milewskiego toast na cześć tłumów Krakowa, tego tłumów, co poważną, godną postawą imponował w chwili pochodu. L. Rydla pełen poezji toast zwrócony do Paderewskiego i Wiwulskiego, posła Korfiantego, p. Cazin, francuza, wygłoszony czystą polszczyzną, który zaznaczył, że naród polski, znany dotąd Francji głównie z aureoli cierpienia, dziś odsłonił bogatego ducha kultury.

Z kobiet przemawiały: p. Olaszewska z Petersburga, p. Klewniewska i miss Basquerville, korespondentka pism londyńskich, kilka serdecznych słów po polsku, dziękując za toast na cześć prasy angielskiej.

Prof. Zdzichowski pił zdrowie Czechów, Słowaków i Rosjan. Serdeczne, gorące mowy wygłosili: Czech p. Vondraczek i Słowieniec p. Stele. Zakończyło przemówienie „Kochajmy się” p. Włodzimierza Tatmajera.

Bankiet skończył się koło 3-ej, był chwilą znamienitych wypowiedzi uczuć, wrażeń, pragnień i nadziei, był jeszcze jednym z niezapomnianych momentów Grunwaldu.

Dziś miasto powoli wraca do zwykłej ciszy, przepełnione pociągami odchodzą we wszystkie strony, wielu wyrusza dla zwiedzenia Zakopanego. Organizatorowie spoczywają na laurach powodzenia. Dopisało wszystko: zjazd, nastrój, słońce nawet, bez dysonansu, bez wypadku, minęły piękne dni Grunwaldu, smutek niewoli łagodziła radość, że są chwile, gdy łączność wśród nas,

mimo wszystko, co dzieli, nie jest obcem jedynie słowem.

Wczoraj wieczorem zamknięto biuro prasowe, które wysłało w przeciagu kilku dni 800 listów i 120 depeesz. Najdłuższa depesza do paryskiego „Temps”, zawierała 500 słów.

Niemal datków napłynęło w tym czasie na „dar Grunwaldzki”, prócz mniejszych — ks. J. Lubomirski złożył 10,000 koron i obietnicę składania w przeciagu trzech lat 15 lipca po 5,000 koron. P. Wł. Gniewosz złożył list zastawny na 1000 rubli. Z pięknym datkiem wystąpił ks. Eugeniusz Lubomirski,



DEPUTACYE Z ZABORÓW.



POCHÓD.

mianowicie 40,000 koron na katedrę języka litewskiego w uniwersytecie Jagiellońskim.

Tak się skończyły pamiątkowe dni Grunwaldzkie, oby były otuchą na dzisiaj i zapowiedzią lepszego kiedyś w przyszłości jutra.

St. Szadurska.



My i One.



„Idź i czyn, choć zwątpisz o braci twojej, czyn ciągle, bez wytchnienia, a z pracy wieków staniesz się wolnym“.

J. Stowacki.

W № 23 „Bluszczu“, w artykule „Nasz stosunek do włościanek“ p. Natalia Jastrzębska, słusznie bardzo podniosła głos w kwestyi niezwykle ważnej, podjęcia wspólnej pracy nad oświatą kobiet wiejskich, nie tylko przez ziemianki, ale i przez panie inteligentki zamieszkałe w mieście, mające pole do działania bodaj, czy nie łatwiejsze, niż ono jest na wsi dla ziemianek.

Te ostatnie bowiem, z małym może wyjątkiem, czynią na całej szerokiej linii naszego kraju, wysiłki serdeczne, by stać się pomocnicami swoim siostrą w chatkach na drodze zdobywania światła i postępu.

Wysiłki te jednak niezawsze są uwieńczone pomyślnym skutkiem, gdyż wiekowa i kastowa niechęć, oraz brak zaufania stoją na przeszkodzie, jakiej niema wcale w stosunku włościanek do inteligentek miejskich, wychwalanych bardzo często przez wieśniaczki przy bliższym z nimi zetknięciu.

Niema to bowiem na porządku dziennym tych kolców ostrych w postaci serwitutów, szkód sąsiedzkich i t. p., będących czarną stroną życia wiejskiego, zaostrzających i rozgoryczających wzajemny stosunek dworu do chaty, a uniemożliwiający pracę ideową.

Ileż to np. napracują się panie na wsi nad zawiązywaniem kółek spółdzielczych dla kobiet wiejskich, z których one mogłyby nieść wielkie korzyści moralne i materyalne.

I chociaż jednak zapiszą się do kółka zwabione i zachęcane różnymi sposobami, to trudno je ściągnąć na zebrania miesięczne, tak się wymawiają brakiem czasu, trudnością wydalania się z domu i t. p.

Tymczasem w mieście kobieta wiejska bywa obowiązkowo raz, a nawet i dwa tygodniowo, czy to dla sprzedaży nabiału, czy dla nabycia różnych artykułów w życiu codziennym potrzebnych, wreszcie towarzysząc mężowi na furze przy sprzedaży zboża, a ztąd wypływa sposobność zetknięcia się wieśniaczki z inteligentką miejską. Jeśli jeszcze ta ostatnia zechce zadać sobie trochę trudu w zawiązywaniu stosunków przyjacielskich z wieśniaczkami, opartych pozornie na wspólnym interesie materyalnym, jakim jest zbyt i kupno nabiału, drobiu, jarzyn, owoców, wyrobów tkackich i t. p.

Gospośnia wiejska trafiwszy na sumienną odbiorczynię jej produktów spożywczych, łatwami całymi trzyma się jej, przywiązując się nawet do „dobrej pani“, że zaś zwykle w mieście spędza dzień cały, gdy do niego przybędzie, łatwo więc zatrzymać ją na serdecznej pogawędce, zapoznać z dobrą myślą jaką, książką lub gazetą, wreszcie namówić do zapisania się w kółko czytelnicze, społeczne, przemysłowe, i t. d., a z których to kółek złożyłaby się cała sieć oświatowa i kulturalna, jak pajęczka nici osnuwająca lud nasz, tępo za postępek idącej.

Weźmy się więc wszystkie, jak siostry za ręce w tej dobrej sprawie i ziemianki i panie z miasta „chcimy chcieć“ a wspólnymi siłami i zabiegami zdziałać możemy wiele.

Istniejące już w różnych okolicach kraju kółka ziemianek, niech postarają się wciągnąć i mieszkanki miast prowincjonalnych w poczet swoich członkiń, a te staną się dzielnymi pomocnicami w tej obywatelskiej pracy, obowiązującej wszystkie polskie kobiety.

Serdeczne też podziękowanie należy się pani N. Jastrzębskiej za zwrócenie uwagi ogółu na tak ważną placówkę niezajętą dotąd...

Oby uwaga ta wydała obfite plony, ryjąc w sercach naszych wielkie słowa wiesz-

cza: „idź i czyn! choć zwątpisz o braci twojej, czyn ciągle, bez wytchnienia, a z pracy wieków staniesz się wolnym“.

Matka-Polka M. R. S.



Z teatru.



Teatr Mały i Letni: „Tajfun“ — dramat w 4-ach aktach Lengyela, oryginał węgierski.

Naprzód para słów informacyjnych. „Tajfun“ dostał się do Warszawy z tłumaczenia niemieckiego. Węgierski oryginał wyszedł z pod pióra Lengyela. Jest to pono pseudonim pisarza, któremu może nie jest obce polskie pochodzenie, bo i Lengyel po węgiersku — *polaka* oznacza i do sztuki swej, akcję wśród paryskiej kolonii japończyków mającej, — polaka postać wstawił — Renarda-Beńskiego, literata.

Na scenę polską sztuka ta weszła tryumfalnie, bo do dwóch teatrów jednocześnie.

Czemu to przypisać? Czy walorom wybitnym sztuki? Najmniej, — bo jak zobaczymy niżej, wartości dramatycznych w sztuce tej prawie niema. Ale jest pewna w niej atrakcja, na którą zupełnie słusznie liczyć było można. W dramacie tym mianowicie występuje cały szereg japończyków, których ojczyzna i naród cieszą się w Warszawie sympatją, a że do tego japończycy ci przedstawieni są przez autora jako ludzie obdarzeni samymi zaletami i to w najwyższym gatunku, a więc patriotyzmem, miłością, wzajemną i pobłażaniem, solidarnością, nadzwyczajnym poczuciem obowiązku, zamięłowaniem w pracy, rozumem, sprytem, silną wolą, poświęceniem, hartem duszy, liryzmem, subtelnymi uczuciami, honorem, dowcipem, rycerskością, — cóż więc dziwnego, że publiczność od pierwszej sceny zakochuje się w bohaterze japońskim i jego towarzyszach tak na seryo, że bije brawo nawet wówczas, gdy d-r Tokeram — niby nowożytny Otello, dusi swoją kochankę.

Cóż to jest Tajfun? Jest to wyraz chiński i oznacza wichur, który w marcu dmie z pustyni Gobi przez Mongolię, Mandżurię, Żółte morze i Japonię. Siła tego wichru jest taka, że na tysiąc kilometrów niesie piasek z pustyni, jak pył drobny, który niepostrzeżenie wżera się w ubranie i ciało. Niesie on za sobą niesłychane ulewę — fu-cian, trwający kilka tygodni, a zamieniające pola w morze. Dla japończyków, wysyłanych przez rząd ich do Europy, takim tajfunem jest europejskie zepsucie, dekadentyzm (poeta Renard), historyczna europejska kobieta (Helena), co wżera się w nich niepostrzeżenie i potem potopem zalewa najlepsze ich usiłowania, pracę, groblę, jaką budują japońscy pionierzy pomiędzy Europą i swoją ojczyzną. To—idea dramatu.

Treść sztuki, ściśle biorąc, redukuje się do nieszczęśliwego wypadku, jaki się wydarzył doktorowi Tokieramie. Młody ten, wielce zdolny japończyk, ma misję przeprowadzenia w Paryżu pewnych studyów ekonomiczno-społecznych i napisania o tem referatu. Misja ważna dla Japonii. Otacza go z tego powodu cześć i miłość rodaków, a jest ich w Paryżu kilkunastu. Tokieramo ma kochankę — francuską, do której bardzo się przywiązał, która jednak zdradza go z jakimś bezdomnym literatem, nadto wykrada mu jakieś rękopisy, zresztą prawie bezcelowo.

Tokieramo nie znosi zdrady, przytem męczony jest przez kochankę — historyczkę jej znęcaniem się nad jego uczuciem. W chwili rozstrajającej nerwy, traci panowanie, rzuca się na nią i przerachowawszy uścisk swej monej ręki, dusi ją na śmierć.

Przyjaciele japończycy postanawiają ratować go przed odpowiedzialnością, nie tyle dla niego samego, ile dla ojczyzny. Każdy z nich gotów jest przyjąć na siebie jego winę. Jeden z nich błaga o to, jako o łaskę, by ratować pracę Tokieramy dla Japonii. Sąd skazuje podstawionego przestępcę na 7 lat więzienia. Tokieramo jest wolny i kończy dzieło swoje. Ale tragedia ta rujnuje jego zdrowie. Umiera. Japończycy go oplakują, ale uznają, że dzieło przez niego stworzone okupuje jego stratę.

Musiabym rozmiary niniejszej krytyki zwiększyć w czwórnasób, by wykazać wszystkie błędy psychologiczne logiki, wypadków i błędy dramatyczności osób i faktów. Oś sztuki — zabójstwo — jest nietylko niespodzianką — deus ex machina — w takiej zrownoważonej, dzielnej organizacji moralnej, jak d-r Tokieramo, — ale jest wprost kaprysem autora, uzależniającym od siebie całą akcję. Dlatego też spotykamy potem co krok niemożliwe niekonsekwencje psychologiczne i faktyczne, które stawiają sztukę na poziomie melodramatu, napisanego jednak z pewnem poczuciem smaku i umiaru artystycznego.

Zbyt naiwnie jest traktowany tylko akt 3-ci, posiedzenie trybunału, które skazuje na karę podstawionego japończyka. Takie trybunały spotykać można tylko w farsach francuskich. Przytem urządzenie sceny w Teatrze Letnim było bardzo wadliwe. Nie można sędziów umieszczać na tylnej ścianie, gdyż główni aktorzy, mianowicie świadkowie, albo muszą stać tyłem do widza, albo bokiem do trybunału, co jest śmieszne, albo tyłem do trybunału, a wtedy jest niemożliwe. W teatrze Małym scena ta wypadła lepiej.

Po za tem wystawa w teatrze Letnim była bez zarzutu. Reżyser p. Śliwicki postarał się oddać szczegóły bytu i zwyczajów japońskich ze ścisłością prawdy i rzeczywistości, zasięgając rady w dziełach specjalnych i u ludzi kompetentnych. Rola główna spoczywa w rękach p. Zielińskiego w teatrze Małym i p. Brydzińskiego w teatrze Letnim. I jeden i drugi artysta mieli niezmiernie trudne zadanie wżyć się w psychologię osobnika z zupełnie odrębną od europejskiej — duszą, nie mówiąc już o trudnościach zewnętrznych.

Spełnili to nad wyraz dobrze z tą różnicą, że p. Zieliński grał powściągliwiej w efektach, realistyczniej, gdy p. Brydziński zbyt silnie może punktował szczegóły. Obaj artyści jednak w dwóch teatrach stanęli temi rolami na bardzo wysokim poziomie artystycznym.

Teatr Mały — w innych rolach tej sztuki — nie miał dobrych wykonawców, za to Teatr Letni dał znakomity zespół. Wyróżniła się p. Pichorówna w roli historycznej kokoty, kompromitującej europejską cywilizację.

G. Ol.

GŁOSY CZYTELNICZEK.

W sprawie służby domowej.

Jako jedna z galicyjskich czytelniczek, pozwalam sobie na wezwanie Szanownej Redakcji „Bluszczu“ do zabrania głosu w sprawie naszej służby.

Mojem zdaniem, (a jest ono oparte na smutnych, wieloletnich doświadczeniach), jedynym, możliwym rozwiązaniem tej kwestyi, było by przez utworzenie *wzorowej szkoły sług*.

Nie wiem czy szkoła, którą mam na myśli, gdzie na świecie istnieje, lecz ja ją sobie w ten sposób wyobrażam:

Do szkoły powinny być przyjmowane dziewczęta z ukończonym 18-m rokiem życia i tamże, od osób wykwalifikowanych, powinny uczyć się gotować, prasować, prać, cerować pończochy, szorować i wogóle wszystkich posług w zakres gospodarstwa miejskiego wchodzących. Ze względu, że w Galicyi jest duży procent analfabetów, powinny być także godziny przeznaczone na naukę czytania, pisania i rachunków. Jest to bardzo ważne, szczególnie dla kucharek, które z przepisami kuchennymi i rachunkami z miasta mają do czynienia. Potrawy, sporządzone w szkole, mogą być wydawane na miasto, bielizna zaś i pończochy do cerowania, także z miasta przyjmowane do prania i prasowania.

W zakładzie powinna się znajdować łazienka, w której każda ze sług mogłaby, przynajmniej co dwa tygodnie, brać kąpiel, a czystość i higiena musiałaby być, do najdalej idących granic posunięta. Fartuchy zakładowe — białe. Służąca, po odbytej jednorocznej, lub jeśli by która chciała wydoskonalić się w gotowaniu, dwuletniej nauce, dostawałaby książkę służbową, ze świadectwem uzdolnienia.

Nauka byłaby bezpłatna, wpisowe 10 koron, zakład utrzymywałby się z gotowania, prania, prasowania i opłaty za usługi przyjmowane do obowiązku. Możliwe byłoby także postarać by był subwencyonowany.

Nie koniec na tem — najważniejszą rzeczą jest, by panie, zgłaszające się po służącą, mogły ją wyegzaminować. A więc przyszedłszy w porze rannej — widzi taka pani służącą gotującą — na żądanie może przy niej prasować, prać lub jaką inną czynność wykonać. Pensje powinny być ustanowione przez zakład: dla wyszkolonej kucharki 24 kor., służącej do wszystkiego 16 kor., pokojowej, ładnie prasującej, z froterowaniem 16 koron, pokojowej mniej umiętnej 14 koron, co do nianiek, to te powinny być kształcone, we wzorowo prowadzonych ochronkach, na *pielegniarce niemowląt* — jest już rzeczą, pani z takiej pielegniarki wyszkolić niankę dla starszych dzieci.

Służące, o ile która jest pojętniejsza, mogą iść do służby przed ukończoną roczną

nauką, lecz wtenczas nie dostają świadectwa tylko potwierdzenie, jak długo w zakładzie przebywały. Dawne wychowanki, o ile pozostawały w służbie przez przeciąg 3-ch miesięcy, mogą znaleźć schronienie w zakładzie, lecz nie dłużej jak dwa tygodnie, w charakterze pomocnic. Lecz tak one, jakoteż służące starsze, które już ze służby na naukę do zakładu się zgłaszają, mają mieszkać i pracować oddzielnie, a to ze względu na wpływ szkodliwy, który mogłyby wywierać na nowicjuszek. Pościel zakładowa, koło każdego łóżka miejsce na kufer. Kaplica w zakładzie, msza św. w niedziele i święta, lekarz opłacany rocznie przez zakład.

Zakład i nauczające powinny być kontrolowane przez radę nadzorczą (składającą się z 15 pań, z których każda musiałaby 2 dni w miesiącu przepędzać w zakładzie), a wybieraną co roku. Zadaniem tych pań byłoby także oddziaływanie umoralniające na dziewczęta i zachęcanie ich do składania oszczędności w kasie. Przy wyjściu z zakładu każda z nich dostawałaby w podarunku książeczkę ze złożoną na niej 1 kor.

Zakład powinien się mieścić we własnym domu z ogrodem, gdzie służące mogły w oznaczonym czasie, zażywać przechadzki, zaś w niedziele i święta mogły wychodzić na 2 godziny rano i na 3 godziny po południu lub przyjmować rodzinę i znajome swe w pokoju na to przeznaczonym. W zakładzie powinna znajdować się także stosowna biblioteka z gazetką redagowaną specjalnie dla służących.

Idealna szkoła dla sług jest jeszcze w bardzo dalekiej przyszłości, my już pewnie dobrodziejstw jej nie zaznamy — oby nasze córki i wnuczki korzystać z niej kiedyś mogły.

Tyle o szkole sług i służących, a teraz słówko o paniach.

Często bardzo można się spotkać u pań z dwoma wadami: zamałem zwracaniem uwagi na wzorową czystość w kuchni, co wywołuje w innej służbie, gdy pani jest więcej wymagająca, obopólne narzekania — i brakiem taktu. Nie jestem zwolenniczką traktowania służby „z góry“, łajania jej na każdym kroku, (służąca która bez podnoszenia głosu nie da się odpowiednio pouczyć, nie jest warta by ją w służbie zatrzymywać), przeciwnie — pewne zainteresowanie się sprawami familijnymi służącej, dawanie jej gazet i książek w dni świąteczne, dodatnio wpływa na jej stosunek do służbodawczyni — lecz zawiadanie poufaleń się ze służbą, np. wypytanie o inne panie, uważam za rzecz naganną, która jest szkołą przygotowania dla t. zw. „pyskatych“, na które wszystkie panie się uskarżają.

Witoldowa Z.

Treść numeru:

Gra fal, powieść, przez Kaz. Przerwę-Tetmajera. — Z życia wsi, przez Wandę Grot-Bęczkowską. — Prometheus, wiersz, przez Zygmunta Różyckiego. — Z literatury, przez Gustawa Olechowskiego i J. Relidzińskiego. — Święty Fen, powieść, przez Macieja Wierzbńskiego. — Z listów do „Bluszcza“: Korespondencja z Krakowa, przez St. Szadurską. — My i one, przez Matkę-Polkę M. R. S. — Z teatru, przez G. Ol. — Głosy czytelniczek: W sprawie służby domowej, przez Witoldową Z. — Ogłoszenia.

Do niniejszego numeru dołącza się:

1) Arkusz 11-ty powieści Jonasza Lie, p. t. „Małżeństwo“.

2) Dodatek poświęcony łączności kół kobiecych na ziemiach polskich: Zarys udziału Kobiet w pracy społecznej i ruchu kobiecym na prowincyi. — Wycieczka krajoznawcza po Galicyi, przez K. Ł. — Z Radomia.

Z powodu opóźnienia przesyłki klisz z za granicy, dodatek z modami do numeru bieżącego dołączymy w numerze następnym.

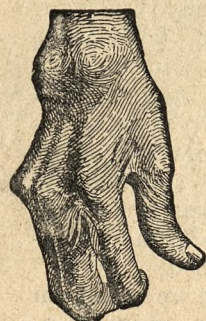
„GLYROL“

zagranicą wytworne damy powszechnie używają Krem GLYROL, przekonawszy się, że środek ten chroni radykalnie cerę podczas pory zimowej. Skład główny Bracia Orszagh, Warszawa.

Zupełnie Bezpłatnie!

To nie nie kosztuje!

Każdy żądający otrzyma **BEZPŁATNIE** paczkę zawierającą pewny **ŚRODEK** przeciw **REUMATYZMOWI I PODAGRZE**.



Wykrzywienie rąk przy chronicznym reumatyzmie stawów.

Długi czas cierpiełem na **REUMATYZM** i podagrę, lecz żaden środek nie przyniósł mi najmniejszej ulgi, lekarze zaś uważali chorobę mą za nieuleczalną. Po upływie pewnego czasu udało mi się zestawić lekarstwo z 5 zupełnie nieszkodliwych części i używając środka ten bard o krótki czas, zdołałem wyleczyć się zupełnie. Następnie próbowałem dawać to samo lekarstwo moim znajomym i sąsiadom, cierpiącym na reumatyzm, jak również chorym leczącym się w szpitalach na tę chorobę, a osiągnięte rezultaty wprost zdumiewały najpoważniejszych lekarzy, którzy przyznali, że wynaleziony przeze mnie środek leczniczy jest najpewniejszy, przeciw tej chorobie.

Od tego czasu zdjąłem za pomocą tego środka wyleczyć już setki osób, które skutkiem choroby tej stały się niedolęznymi kalekami, nie mogącymi ani jeść, ani ubierać się bez pomocy drugich z tych wielu w wieku lat 60 do 75, cierpiących na **REUMATYZM** od lat 30. Jestem tak pewien skutecznego działania tego środka leczniczego, iż postanowiłem rozesłać bezpłatnie kilkadziesiąt paczek, aby dać możność licznym zastępom chorych skorzystać zeń.

Jest to środek cudowny i nie ulega żadnej wątpliwości, iż chorzy, których lekarze oraz na kuraczu w szpitalach uważają za nieuleczalnych mogą być zupełnie wyleczeni. **PROSZĘ ZWRÓCIĆ UWAGĘ NA TO, IŻ NIE ŻĄDAM ŻADNEGO HONORARIUM**, lecz proszę tylko zakomunikować mi, iż W. P. życzy sobie otrzymać bezpłatnie paczkę tego środka leczniczego na próbę, wymieniając nazwisko swe i dokładny adres w języku polskim. O ile środek ten okaże się W. P. potrzebnym w większej ilości, to zaznaczam, iż cena tego jest bardzo umiarkowana. Nie pragnę, bynajmniej zbagacić się, przeciwnie zaś pragnę tylko aby wynalazek mój przyniósł największą ulgę cierpiącym na tę chorobę.

Proszę zwracać się na kartach pocztowych ofrankowanych marką 4 kop. do M. E. Treiser, 143. Bangor House, Shoe Lane, E. C. London, England.



Gotuj na zapas

we właściwym sezonie

w konserwatorze J. Week'a

groszek zielony, szabelbon, szparagi, wszelkie jarzyny, owoce, nawet kurapatwy i zwierzyne, a przez cały rok mieć je będziesz świeże, tanio, na każde zawołanie.

Reprezentanci J. Week'a 297

KRZYSZTOF BRUN i SYN

w Warszawie, plac Teatralny.

Cenniki na żądanie franko i gratis!

Firmowo-Komandytowe 365
— T-wo Perfumeryi —

E. Korwin-Szymanowski, I. Drozdzeński, St. Pozowski i S-ka

poleca mydła natłuszczone, toaletowe, mydła lanolinowe, kwiatowe, wody kolońskie, kwiatowe i perfumy, oraz wyroby kosmetyczne: l'Academie Scientifique de Beaute, Paris Madeleine. Jak również perfumy pierwszorzędnych firm zagranicznych. Warszawa, ul. Bracka 18, tel. 6.19.

Nie ma równego sobie

aromatyczne mydło w proszku „**PERFEKT**” zarówno do prania bieleziny, jak mycia wszelkich przedmiotów.

Aromatyczny „**Perfekt**” jest niczem do zastąpienia w kąpieli, ciała nadaje świeżość i jest higieniczny. — Żądać wszędzie. Hurtowo:

LUDWIK W. SZWEDE, Warszawa, Senatorska 28-30. Tel. 17.28.

Zmarszczki z twarzy usuwa

ABARID

KREM

otrzymany z cebulek białej lilii (Lilium candidum)

Perfumerya „**PERFECTION**” Warszawa, Szpitalna 10.

ŁWÓW: Pawłowski, ul. Sykstuska 43. POZNAŃ: Kantecka, Halldorfstrasse 4.

We wszystkich księgarniach sprzedają się dzieła pedagogiczne Reussnera do bardzo przelatyw i najłatwiejszej nauki języków obcych w szkole i domu bez nauczyciela z objaśnieniem wymowy i kluczem pod tyt.:

Samouczek

Polsko-Niemiecki, kurs wstępny (Elementarz) po kop. 5, 12, 24 i 40; kurs I-y k. 80, — kurs II-gi k. 1.60. Rusko-Niemiecki po kop. 5, 12, 24, 40 i 2.20. Polsko-Francuski kurs I-y kop. 1.20; II-gi kop. 3.20. — Polsko-Angielski kurs I-y kop. 75, — kurs II-gi kop. 1.20, — Polsko-Ruski Elementarz, po kop. 5, 12, 24 i 40; — kurs I-y kop. 1.40; kurs II-gi kop. 1.80. Nakład autora (Reussnera), ulica Złota 6, Warszawa.

Pierwsz. Biuro Nauczycielskie Leokadij Max

poleca: nauczycielki, nauczycieli, freblów-ki. Sprowadza cudzoziemki. Tel. 124.88. Warszawa, Marszałkowska 148.

Pierwszorzędne Biuro Nauczycielskie.

KARPIŃSKIEJ

POLECA: nauczycieli, nauczycielki, bony, francuski, niemiecki, angielski.

Warszawa, Moniuszki 7. 356

Biuro nauczycielskie „Załęski”

Warszawa, Widok 5.

Poleca nauczycieli, nauczycielki, bony. — Francuski, Angielski sprowadza z własnych biur zagranicznych.

PRZEJAZD SAMOCHODEM

do Libawy, Polagi, Memlu. H. Kirohof, właściciel hotelu St. Petersburg w Libawie. Wyjazd z Libawy codzień o godz. 8 1/2 rano z hotelu St. Petersburg. 359

Wiktora Askanasa

Mydło Zdrowia udelikatniające skórę, oraz Odoryna płyn specyficzny przeciw nadmiernej poceniu się. Marszałkowska № 139 kantor fabryczny w podwórzu.



Nadworna Fabryka

Fortepianów i Pianin

J. BECKER

Skład Fabryczny w Warszawie

№ 30 Nowy-Swiat № 30

Tel. 84-35

PANI DOMU

Mieczysława Rościszewskiego

cena księgar. 1.50. Dla prenumeratorów „**Bluszczu**” 80 kop. z przesyłką pocztową 1 rb. za zaliczeniem 17 kop. więcej.

KALODONT

Niezbędny **KREM i ELIKSIR** do **ZĘBÓW**

Utrzymuje zęby białe, czyste i zdrowe.

żądać wszędzie

Ratunek

Grzebień Elektryczny D-ra Tillet'a w Paryżu. Zalecany wszystkim osobom bez różnicy wieku, dotkniętym chorobami włosów, lub pragnącym utrzymać zdrowotność tych że. Leczy skłonność do łysiny. Opóźnia siwiznę.

Skład główny: Zakład fryzjerski ROMANA PROCHOWSKIEGO Sienna 1. Telef 108-54.

Perfumy o wykwintnych zapachach



Coeur de Carmen Violette
Idéal 272 Muguet

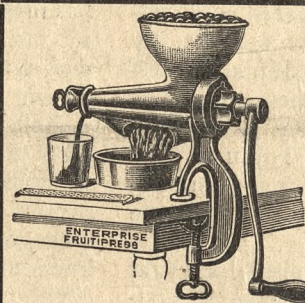
Kompozycy i wyrobu własnego

Apteki M. Malinowskiego

Nowy-Swiat 35, w Warszawie.

Pani Helena Mikulska

Właścicielka Magazynu Wytwornej Konfekcji damskiej, wyjechała za Granicę po nowości i modele na sezon jesienny i zimowy. Warszawa, ul. Nowy-Swiat № 7. Tel. № 187-32.



Prasy do soków

Miski mosiężne do smażenia konfitur. Maszynki do wydrążania po 12 wiśni naraz. Kuchenki naftowo-gazowe „**Primus**” polecają:

Krzysztof Brun i Syn

w WARSZAWIE, plac Teatralny.

Mechaniczny Szwedzki Autovibrator

Do samomasażu ciała i twarzy. Zbawienny w cierpieniach nerwalgicznych, gastrycznych, atretyczno-reumatycznych. Wzmocnia mięśnie, normuje obieg krwi, rozgładza zmarszczki, upiększa cerę.

Magazyn Optyczny **S. GRABINA** Marszałkowska 101. Telefon № 47.67. Kupcom rabat.

Elektryczne grzebienie

do czesania osłabionych włosów dla ich porostu i zagęszczania otrzymać SPECYALNY MAGAZYN NOWOSCI KOSMETYCZNO-PERFUMERYJ. **W. Paszkowskiego** Marszałkowska 109, róg Chmielnej, tel. 75-68.

Zakład fizyko-leczniczy

dla chorób kobiecych

Szkolna 5 (Marszałkowska 140) tel. 119-34

D-rów **S. HUBICKIEGO, L. LORENTOWICZA i S. WISZNICKIEGO**

Leczenie wysięków i spraw zapalnych organów miednicy, leczenie otyłości i niedowładu jelit. Metody lecznicze: kąpiele świetlno-elektryczne, w gorącym powietrzu, kwaso-węglowe, mineralne, błotne nasiadowe (błoto Krynickie i Ciechocińskie), okłady z błota limanowego i Fango, obciążanie, douches permanentes, elektryzacja, masaż vibracyjny i ręczny, gimnastyka lecznicza.

Wypożyczanie przyrządów do leczenia gorącym powietrzem.

265

Borol

na porę zimową uznano za najlepszy ze środków chroniących skórę rąk i twarzy od opierzchania.

273